

Pawlikowice. Tej kapusty dużo zjemy.

NASZE ŻYCIE

NUMER 9. LISTOPAD ROK 1936.

HASŁO MŁODYCH!

Słodkich owoców przyjaźni z twoimi towarzyszami możesz być pewny, jeżeli stłumisz w sobie do szczętu samolubstwo i zazdrość, jeżeli będziesz szacować chwalebne postępki towarzyszów, będziesz szczery i otwarty, będziesz słuchał bez żadnej urazy naganę wad swoich, i z pociechą przyjmował rady i przestrogi.

JÓZEF JEŻOWSKI
Filareta.

TREŚĆ MIESIĘCZNIKA:

ZA POZWOLENIEM WŁADZY DUCHOWNEJ.

Drukarnia „Powściągliwość i Praca", Kraków, ul. Kazimierza Wielkiego 95.

Rok XIII. Nr. 9.

LISTOPAD

1 9 3 6.

NASZE ŻYCIE

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY MŁODZIEŻY ZAKŁADÓW WYCHOW. TOW. „POWŚCIĄGLIWOŚĆ I PRACA“
POD REDAKCJĄ: KS. EDWARDA TOMZY

Zakład Wychow. w Pawlikowicach. p. Wieliczka.

Konto czekowe P. K. O. 404.854.

Telefon 54.



Marszałek Polski Śmigły-Rydz

W dniu 10 listopada br. buława Marszałka Polski spoczęła w rękach Generała Edwarda Śmigłego-Rydza. Fakt ten, o olbrzymim znaczeniu państwowym, czcił Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach porankiem, zorganizowanym przez młodzież gimnazjalną. Zebrani wysłali depeszę, wyrażającą hołd i oddanie Marszałkowi Polski.

Poniżej przedrukowujemy gratulacje, jakie złożył Panu Marszałkowi Polski JEminencja ks. Kardynał — Prymas Hlond.

Redakcja

Przemówienie
J. Em. Ks. Kardynała, Prymasa A. Hlonda

wygłoszone w Warszawie, w dniu 10 listopada.

Opatrzność Boża wyposażyła ongiś Polskę na drogę dziejów w krzyż i miecz. Krzyż i miecz wiodły Polskę przez stulecie zmagań i chwały. Krzyżem i mieczem wypowiedział naród w niewoli swe prawa do bytu. Krzyżem przeżegnała zmartwychwstała Polska swe nowe posłannictwo, mieczem podpisała swą wolność.

Dalej idą przed Polskę: krzyż — jako stróż ducha i dobra, miecz — jako gwarant niezawodny polskiego honoru i granic Rzeczypospolitej.

Jako sługa krzyża w odbudowanej Ojczyźnie gratuluję marszałkowskiej buławy, Tobie Wodzu, i tym zwycięskim sztandarom, które się krzyżem znaczą i krwią bohaterską. Niech ta buława, jako władza czy znak rycerskiego ducha narodu, przestrogą będzie wszystkim, że od jej gromów legnie złamany każdy najeźdźca na polską granicę.

Spojrzenie w przyszłość Polski.

Osłoniona mgłą tajemnicy — zbliża się ku nam przyszłość... Pragnąc zaś ujrzeć twarz jej zakrytą — ziszczenie lub przekreślenie naszych pragnień i nadziei — ściągamy brwi i wpijamy w nią źrenice uporne... niespokojne... chciwe... Darmo... Twarz ta kryje się przed oczyma jak krynica przed żądnym spojrzeniem spragnionego wędrowca.



Pawlikowice. Harcerze porządkują cmentarz zakładowy.

A przecież lwią część rzeczy robimy dla niej... ledwie przeczuwanej... niewiadomej. — Z nieprzełamanym uporem znosimy niedosyt, gdy przewidujemy, że ona to zmieni na lepsze. Kiedy natomiast zarysowuje się groźnie, rozpacz wkrada się do naszej piersi i wydziera zdradziecko resztę sił...

Nie dziw zatem, że my młodzi, u których dopiero budzi się poważna myśl, dumamy o polskiej przyszłości. Musimy być gotowi na wszystko, baczni jak żołnierz na warcie w ciemną noc... Musimy wiedzieć czego chcemy, byśmy nie szli jak ślepcy po omacku.

Czego chcemy?! — Naturalnie chcemy Polski silnej, bogatej i gospodarnej, Polski, której obywatele mieliby maksimum swobód, a zarazem pełnili rzetelnie swoje obowiązki... Polski bez analfabetyzmu, pieniactwa, niesprawiedliwości, Polski z własnym ideowym obliczem...

Ale czy nadchodząca rzeczywistość nie rozwieje tych marzeń, a jeśli rozwieje to w ja-

kim stopniu?

Więc przychodzimy do właściwego tematu: jaką będzie przyszłość Polski? Zależeć ona będzie od dwóch rzeczy: od przeobrażeń jakim podlegnie ustrój Europy, a jeszcze więcej od nas samych...

Obecne położenie Polski względem państw ościennych budzi troskę poważną. Rzuceni między dwie potęgi gotowe w każdej chwili kąsać się do krwi, możemy łatwo uwikłać się w walkę, w której wezwanie na pomoc jednej lub drugiej strony mogłoby się stać dla nas ciosem śmiertelnym... Do tego skałę, na której spoczywa nasza Ojczyzna, żłobią podstępnie, niestrudzenie, ciągle fale bolszewizmu... Brudna piana ślinia coraz wyżej dostojne Jej stopy... A jednak położenie nie jest tak ciężkie. Zaryzykuję nawet zdanie, że z pewnych względów jest ono korzystne... Bo właśnie to położenie zmusza Polskę do wysiłku — do twardej, zawziętej pracy — choćby żyły pękały na skroniach, — choćby trzeba było wszczepiać pazury w głaz granitowy... To położenie uczy nas wyszarpywać z ziemi i z własnego wnętrza lepszą przyszłość... Uczy opierać się na sile własnej idei i własnych mięśni...

Bo nieprawdą jest, byśmy sił nie mieli dostatecznych dla naszej obrony.

Może jednak w ustroju Europy wnet już się coś załamie, coś pęknie... Załamie się może Rosja bolszewicka... a może o rumianej pozornie twarzy hitleryzm. Oba te momenty byłyby dla nas niekorzystnymi — niemal groźnymi... W pierwszym wypadku stalibyśmy się samotną wyspą na niemieckim morzu — w drugim pomostem, przez który jak w roku 1920 usiłowałaby przepłynąć ku zachodowi fala bolszewicka, depcząc brutalną stopą po tym, co dla nas najdroższe.

Ale najprawdopodobniej nie ostoi się ani jeden, ani drugi kierunek... to znaczy, ani hitleryzm, żerujący na idei narodowej — utrzymujący się tylko sztucznym entuzjazmem, który Hitler umie po mistrzowsku wstrzykiwać społeczeństwu niemieckiemu, ani bolszewizm — przekształcenie tyranii carskiej Rosji na tyranię innego rodzaju — nie mniej okrutną...

I właśnie w tym momencie o ustroju społeczeństw zadecyduje Polska... — Polska? — zapyta ktoś z bladawym uśmiechem ironii — biedna, słaba.

— Tak jest! Polska!!! Byle nie ubrała się w brunatny strój hitleryzmu lub czerwony bolszewizmu — byle po papuzemu nie powtarzała obcych haseł, lecz odnalazła swoją polską prawdę: braterstwo i wolność ludów.

I mimo woli przypomina się proroctwo naszego założyciela ks. Bronisława Markiewicza, że przez Polskę odrodzi się ludzkość, a ona sama zajmie poczesne stanowisko wśród narodów. — Ale czy jesteśmy na tę możliwość przygotowani? Pesymista zwiesi ze smutkiem głowę i powie krótko: „nie“. Doda jeszcze, że nigdy na to przygotowani nie będziemy.

— ?!

— Tak — powie z bolesnym półuśmiechem — bo kto się

dziś dopatrzy w młodych tych idei, które mają rzucić kiedyś światu ze zwycięskim okrzykiem. Kto się dopatrzy w nich wogóle jakiejś idei. Wszystko, co robią, robią dla synekur i przyziemnego egoizmu.

Ale pesymizm nigdy nie ma słuszności, nawet wtedy, gdyby ją miał... Nie ma słuszności, bo gdy się lepkimi rękoma uczepi naszych piersi, wydziera z nich sprężystość i energię. My musimy wierzyć, wierzyć aż do fanatyzmu, że mamy w sobie dość siły na to, by światu rzucić gromki okrzyk dawnych polskich huzarów: „Niech nas znają". Mamy dość sił... ideę braterstwa i równości narodów wyssaną z piersi ojczystej tradycji.

Tradycji?... Niemiły dźwięk... wspomnienie zasmuconych dni niewoli...

Tak, ale nie można jej w czambuł potępiać, trzeba wydobyć z niej, co jest twórczego, wielkiego i szlachetnego. A właśnie taką jest idea braterstwa, która po latach pracy młodej Polski musi być zrealizowana. — To jest nasza siła, nasz rdzeń pacierzowy... Karabiny, czołgi, samoloty, to mało... Choć bez nich się nie obejdzie...

I nie można potępiać nas młodych, nie można powiedzieć, że sport zakrywa nam wszystkie dalsze, piękniejsze horyzonty, że brak nam wszelkiej idei, że nie podołamy poważnym obowiązkom. Przeczy temu wzmożona praca organizacyjna, która musi się jednak podwoić, potroić, by wydobyć nieskończoną liczbę możliwości, tkwiących w nas...

I gotowiśmy wziąć rydel do rąk i kopać krzemienną polską glebę, glebę własnych serc i umysłów, choćby nam żyły pękały na skroniach, bo wiemy, że zbliża się ku nam lepsza przyszłość. *Ochała Ferdynand*

VIII kl. gimn.



Pawlikowice. Zmarźlaki mają pretensje do termometra.

Listopad roku 1830-go a dzień dzisiejszy.

Jak przeszedł rok 1830, a w szczególności listopad, wiemy już to z kart historii, już to z utworów naszych wieszczów: Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych owego okresu.

Wielu z nas brało udział w dramatach, przedstawiających niektóre fragmenty tego okresu, względnie wygłaszało referaty, odczyty, czy też deklamacje.

Wiemy więc, że rok ten, był smutnym rokiem naszych dziejów.

Rok ten zresztą nie pod wszystkimi zaborami przedstawiał się jednakowo, posiadał jednak cechy wspólne dla wszystkich Polaków. Celem wspólnym była myśl pozbycia się jarzma zaborców — idea wywalczenia niepodległości. Czy zdajemy sobie sprawę, jak wówczas zachowała się młodzież, nasi koledzy, nasi rowieśnicy? Z pewnością tętno życia polityczno - społecznego Narodu nie było obcym młodzieży.

Młodzież, gdy szło o sprawę oswobodzenia Polski, nietylko nie ustępowała starszym, lecz nawet przewyższała ich zapałem. Częstokroć nawet, starsi, wskutek niezrozumienia hamowali i piętnowali porywczość młodych. Nie przestraszało to naszych kolegów, co więcej zarówno kara ewentualnego więzienia względnie katorgi Sybiru nie znaczyły nic wobec nakazu walki o niepodległość. Zresztą chodziło przecież o religię, która tak silnie spaja Naród. Cały ogrom uczuciowości i patriotyzmu młodzieży wybuchnął z żywiołową siłą w akcie buntu, jakim było powstanie listopadowe. Że powstanie się nie powiodło jest nie winą młodzieży, ale raczej tych, którzy nie umieli z owego momentu dziejowego skorzystać.

Wiemy w jakim położeniu znajdowali się nasi koledzy.

Po ciemnych już ulicach miast, po zasnutych oponą nocy ścieżkach wiejskich, chyłkiem zbierali się na tajemne lekcje miłowania Ojczyzny, na ćwiczenia się w nienawiści do wszystkiego, co groziło wynarodowieniem. Trawione sprzeciwem wewnętrznym umysły układały gorączkowo plany walki z wrogiem, przewidywały losy batalii, entuzjazmowały się domniemanymi zwycięstwami. I jednego im tylko było potrzeba — wodza. Tego jednak zabrakło. Nie polała się przecież krew nieletnich bohaterów darmo.

Posiew Grochowa, Ostrołęki i Woli wydał obfite zbiory w naszym pokoleniu, które nieomal osobiście walczyło o niepodległość...

Jakże innym jest listopad obecny dla nas żyjących już w wolnej Ojczyźnie.

W listopadzie dzisiejszym święcimy pamięć męskiego zmagania się z wrogiem, a równocześnie radujemy się faktem odzyskania niepodległości. Mimowoli nasuwa się tu pewna refleksja.

Pamiętamy jak brawurowo obchodziliśmy dziesięciolecie

wolności Polski. Wśród szeregu uroczystości owej chwili pamiętam, jak na znaczniejszym miejscu danej okolicy sadziliśmy drzewka wolności. Młode dęby wyrosły do dzisiaj. Czy my na miejsce wiecznego spoczynku naszego Wodza — Marszałka Piłsudskiego. Na Jego miejscu stoi już inna postać: Marszałka Rydza-Śmigłego. Jak teraz potoczy się życie Europy



Pawlikowice. Harcerze budują autostradę.

podobnie wzrosło i scaliło się wewnętrzne nasze poczucie narodowe?

Czy własną pracą przyczyniliśmy się do konsolidacji organizmu naszej Ojczyzny i postawienia Jej w rzędzie państw o charakterze mocarstwowym? Czy świadomi jesteśmy tego, że przyszłość Polski do nas i tylko do nas należy. Rok minął od chwili, gdy odprowadziliśmy na miejsce wiecznego spoczynku naszego Wodza — Marszałka Piłsudskiego. Na Jego miejscu stoi już inna postać: Marszałka Rydza-Śmigłego. Jak teraz potoczy się życie Europy wobec zakusów ekspanzji bolszewickiej i hitlerowskiej? Jeżeli wiemy o roli dziejowej naszego państwa w przeszłości, jeżeli zdajemy sobie sprawę z dzisiejszej naszej pozycji wobec pokoju europejskiego, pamiętajmy, że praca nasza dzisiejsza jest zadatkiem wielkiej Polski.

Wilk Bolesław.
VIII. kl. gimn.

Wszyscy, byli Wychowankowie czytają „Nasze Życie“.

Samuraje z Pawlikowic.

Wiem, na co się narażam tytułując w ten sposób swój niewinny artykulik. Oto pierwszy lepszy zakładowiec, Wojtek Pęcak, czy Antek Grzanka, biorąc do ręki „Nasze życie", krzykną z oburzeniem: „Co sobie myśli ten jakiś, kiepsko podpisany! On nas właściwie obraża. Zaraz lecę do Redakcji dowiedzieć się, kto to taki. Samuraje!!! Słowo daję, że nie wytrzymam!" Wiedziałem, że tak będzie, dlatego przezornie ukryłem się za dobrze osłaniającymi inicjałami WB, by przetrwać pierwszy atak obrażonego honoru. Gdy obawa komplikacji towarzyskiej minęła, zaczynam się tłumaczyć.

Drodzy moi Urwipołcie! Wybaczcie — nie chciałem was obrazić, owszem — pochwalić. Samuraje to nazwa dawnej szlachty japońskiej, która dziś już zanika. Cóż robić — warunki społeczne się zmieniły. Ale wyraz „samuraj" nie przestal być znakiem siły, hartu i wytrzymałości. Te zalety przyswoił sobie od samurajów cały naród japoński i dlatego dziś 1000 Chińczyków uciekło w popłochu przed setką Japończyków. Czy wiecie w jaki sposób Japończyk zdobywa te zalety? Życiem skromnym. Japończyk nigdy za boga nie uważa swego brzucha. Wie dobrze, że świat nie zna tlustych bohaterów. Odżywia się bardzo prosto. Ryż, jarzyny, ryby, owoce i to w niewielkich ilościach. Mięsa nie używa, lub b. rzadko, gdyż zalicza go do środków podniecających, które osłabiają raczej organizm. Zdaje sobie sprawę z tego, że ostatnią wiadomością nie zaimponuję moim czytelnikom. Musiałbym nieco dłużej śmigać piórem po papierze, by ich o tym przekonać. Zresztą wiem, że na argumenty znalazłyby się i kontraargumenty. Bo proszę posłuchać dyskursu, jaki wiódł w materii bardzo zbliżonej do naszej 12-letni Tadek S., rodzony Wieliczanin, z kucharzem zakładowym. „Prosę pana, zagaja energicznie Tadek, prosę o parę kości z mięsem. „Ależ dziecko, odpowiada zdziwiony mistrz patelni, zapomniałeś widocznie, że dziś piątek!" „Tak — piątek — a psi dlacego kości w piątek ogryzają?" „Bo widzisz, bo... bo... pies nie ma duszy!" „Nimo dusy? A jak się do niego idzie to sceka!" Z tego widać, że mały amator mięsa okazal w dyspucie dosyć dużo przytomności. Jeżeli więc o takie marne „żyły" wywiązal się tak filozoficzny dialog, to co by bylo, gdyby szło o całą pieczeń. Chodzi mi tu więcej o przekonania niż o rzeczywistość, bo w naszym zakładzie potrawy mięsne należą do rzadkości.

Z wyjątkiem ziemniaków mają Japończycy wszystkie jarzyny, które rosną u nas. „Przysmakiem ich jest sałata, zwłaszcza na wieczerzę podana: Uważają ją za doskonały środek na uspokojenie nerwów. Pomidory i marchew są bardzo przez nich cenione, a cebuli surowej prawie każdy z nich zjada w tygodniu dwa albo trzy talerze.

Tylko ogórków np. nie jedzą w formie kiszonej lub jako t. zw. „mizerii“. Gotują je i podają do stołu na gorąco, podobnie rzodkiewkę. Marchew przy obiedzie z reguły jedzą na surowo“.

„Proszę, to ci Japończycy, z małymi wyjątkami, tak się odżywiają jak my w zakładzie! „Chłopcy, ostrożnie tam z marchwią i pomidorami, bo na zimę nic nie pozostanie!“ A potem strapiony ojciec zakładowej rodziny idzie do szefa ogrodnictwa i pyta: „No jakże, jest skutek?“ „Tak, odpowiada tenże, naogół jest poprawa, tylko kilku kłusowników jeszcze... „A, rozumiem, na tych trzeba



Pawlikowice. Trzeba ule zaopatrzyć na zimę.

Ileż to u nas cebuli, pomidorów, marchwi, owoców! A jak my to lubimy!“ — Słyszę przez fale radiowe rozradowane głosy Wojtka Pęcaka i Antka Grzanki. „Już wiemy, co znaczy ten tytuł: „Samuraje z Pawlikowic“. Owszem, owszem, bardzo mię to cieszy, że nie czujecie już do mnie żadnej urazy. A co do waszych zainteresowań owocami i jarzynami — mam pewne wiadomości...

Oto w każdym roku Ks. Dyrektor musi wydawać „ukazy“ w tej mniej więcej formie: innego lekarstwa!“

Tak więc marchew idzie do waszych żołądków po japońsku, ale kupuje się ją w lecie z ogrodu, a w zimie z piwnicy sposobem tatarskim.

Samuraje, o ile sobie przypominam, takich sposobów nie znają.

* * *

Drugim źródłem tężyzny fizycznej u Japończyków jest woda... zimna. „Używali jej samuraje zarówno jako środka wewnętrznego jak i zewnętrznego z takim skutkiem, że ich kasta

stała się przedmiotem podziwu i zazdrości narodu. W lecie przebywali wpław rzeki i sypiali w ulewny deszcz pod gołym niebem, w zimie zaś układali się do snu na polach, zaścielonych śniegiem, chroniąc się od chłodu rogożami ze słomy ryżowej i odzieżą, jaką mieli do rozporządzenia". Wynikiem tego hartowania stałego organizmu jest to, że cierpienia reumatyczne, wrażliwości na przeciągi, wilgoć, zimno jest u Japończyków b. mała. Wieczorem, podeszły w latach ojciec rodziny — odżi-san — siada na progu swej chaty, choć w mieszkaniu wszystkie okna są pootwierane. W zimie cieplej się odziewają, ale zato b. słabo opalają mieszkania. Właściwie w „hibaszach" jest ogień na to, by fajeczkę było od czego zapalić.

Patrzę teraz na miny moich niedawnych entuzjastów owocowo-jarzynowych. Coś zrzedły. Jakżeż Antoś — pytam — nie imponują ci te sukcesy samurajów? Zimna woda? „Tak, słyszę odpowiedź, w lecie to i my lubimy zimną wodę. Nawet przed laty sami wykopaliśmy sobie dwa baseny kąpielowe. Ale niechby spróbowali Japończycy u nas w zimie tak „forsować" zimną wodę". Aha, tutaj sęk. Wylazło szydło z worka. Teraz dopiero przypominają mi się niektóre „kawałki" zakładowe. Pytam raz porą zimową jednego z odważniejszych: Słuchaj Edek, powiedz mi tak szczerze, kiedy się myłeś ostatni raz? „Przedwczoraj" — co w języku 15-letnich znaczy: Tydzień temu! Wiwat! — szanuj wodę, bo widzisz jaka ona w zimie biedna. Całe szczęście, że takich jest nie wielu. Także i w zakładowych „hibaszach" ogień rzadko gości, ale nie ma wypadków zaziębień. Od czasu do czasu któryś położy się, ale rodzaj jego niemocy trudno czasem określić. Przychodzi „lekarz" zakładowy z termometrem i dokonuje pomiaru ciepłoty. „Wojtuś — daje się słyszeć po 10 min. przerwie głos „doktora" — Co ci jest właściwie? Termometr wskazuje tylko 36.5? „Bo proszę pana — brzmi odpowiedź, ja gorączki pod pachą nie mam, tylko tam... dalej... w środku!".

* * *

Trzecim źródłem tężyzny fizycznej mieszkańców kraju Wschodzącego Słońca, to — powietrze. W żadnej porze roku nie bronią mu przystępu do swych mieszkań. „W najzimniejsze noce zimowe krąży bez przestanku zimny powiew w całym domu japońskim. Jeżeli komu jest zimno nakrywa się lepiej. Okno w sklepie japońskiego kupca jest nawet w styczniu, przynajmniej do połowy, otwarte. Raniutko wychodzą z domów, by zażyć świeżego powietrza i umyć nogi na zroszonej murawie. Wieczorem myją zawsze nogi przed udaniem się na spoczynek. Jeżeli się zważy, że parę dni można żyć bez wody, tydzień bez pożywienia, ale tylko kilka chwil bez powietrza, to okaże się jasnym, że Japończycy mają zupełną rację, starając się zarówno w dzień jak i w nocy wchłaniać jak najwięcej świeżego powietrza". Dlatego też suchoty są u nich

rzadkością. Chronią też troskliwie swoje nerwy, unikając środków podniecających jak wódka, wino, piwo, które sprowadza się do nich z Ameryki lub Europy. Ich narodowym trunkiem jest lekkie wino ryżowe zw. sake.



Miejsce Piastowe. Warsztat krawiecki.

„No, tośmy na całej linii samurajami" zakrzyknął Wojtek z Antkiem a iskry zapału i radości z dokonanego odkrycia strzeliły im z oczu. „Przecie, — kto więcej może wdychać świeżego powietrza niż my — w naszym zakładowym parku. Więc hura! niech żyje po pracy — sport — na świeżym powietrzu! A w zimie narty, łyżwy i sanki!"

Brawo! Bo cóż mogę więcej dodać do tych słów, których treść właściwie głębiej się realizuje w życiu od czasu, kiedy nasze zakłady istnieją. Mogę tylko zachęcić: kochajmy nasz zakładowy regulamin, którego przed nikim powstydzić się nie możemy. Mało tego — trzymajmy się go przez całe życie. Hartujmy się, ale bez przesady, rozumnie, bo ludzi hartownych potrzebuje dziś Ojczyzna nasza.

W. B.

Miłym wspomnieniem dla byłych Wychowanków jest „N a s z e Ż y c i e"!

Pięciu Budrysów.

(Obrazek osnuty na prawdzie)

...Wincenty!

Ktoś patrzący pobieżnie, rzeknie: to ubogi, nieszczęśliwy człek. Tak jednak nie jest. Ani on sam, ani nikt z widzów nie jest w stanie zliczyć wszystkich skarbów materialnych i duchowych — w jakie wyposażyła go natura.

Posiada przecież i kawałek ziemi i skład kamieni, a nawet sporą ilość pierza (takie zwyczajne do poduszek), a że pierwsze przechowuje tylko w doniczce, drugie w nerkach (kamienie nerkowe), a trzecie w szarmancko — do góry noszonej czuprynie — nic to jednak nie zmienia zasadniczej wartości tych dóbr. Jeśli dołączymy do tego nieograniczone prawo korzystania ze wszystkich dróg — wszystko to uczyni go szczęśliwcem i wybrańcem losu.

Znamy wszyscy nieomylne przepowiednie P. I. M. (a) na przeciąg całego dnia (i to na przód). Nasz Wincenty nie potrzebuje aż takich wynalazków XX. wieku, posiadając bolesny wprawdzie, lecz własny barometr w kościach.

A przybył on w zamierzchłe, legendarne czasy, prowadząc w zakładowe dźwierze, nie 3, ale 5 Budrysów, chłopaków wesołych i zdrowych.

Z czasem zajęcia rozdzieliły naszą 5-kę hultajską — zaś różnica uzdolnień i zamiłowań dokonała reszty. Dwu z nich pozostało jeszcze w zakładzie.

Najmłodszy, Toli (od jego stałego frazesu: a toli) należycie reprezentuje wartości rodu Przypalonych, czy też Palonych — nie pomnę dobrze.

Zaraz od pierwszego dnia, w którym uszczęśliwił zakład swoim przybyciem, na punkcie współżycia i obrotności robił szalone postępy. W krótkim czasie staje się najbogatszym obywatelem zakładu, zdobywając gdzieś stare trzewiki (oba lewe), co łącznie ze swymi (wprawdzie bez podeszew) uczyniło go szczęśliwym posiadaczem 2-par obuwia.

Dalej wchodzi w posiadanie olbrzymiego kapelusza, a raczej samego ronda, gdyż wierzch dawno stracił łączność z częścią macierzystą (bo i po co wierzch na lato?). Co najważniejsza, że regularnie, co godzinę, kieszeń jego inkasowała kromkę jasnego, świeżego chleba. I ten fakt wyniósł go na czoło pierwszych sprinterów i zakładowych speców.

Zaczęto się z nim liczyć.

. . . .

Toli lubił przedstawienie. A ponieważ był nad podziw inteligentny — w mig rozwiązywał wszelkie zawiłe akcje dramatów. Aż raz przedstawiano krwawe jakieś męczeństwa pierwszych chrześcijan. Wszystkich owładnęło jedno, wielkie uczucie: jak pięknie umierali, owi bohaterowie, ze słowem na ustach: Pro Christo!!!

Toli zdradzał głębokie przejęcie się i podzielanie tej samej myśli — pyta go więc jeden z wychowanków:

— Czy ci się to podoba Franku?

— O tak!

— A czy chciałbyś być jednym z nich?

— O tak! tym okrutnym starostą, bo on tak wszystkim rozkazuje. Toli nie zaliczał się do przeciętnych — z odpowiedzi widać było objawy przyszłego dyktatora!

— — — — — —

Cechą ludzi mądrych jest, że umieją wyprowadzać jasne wnioski z życia. Takim był Toli. Wywnioskował mianowicie, jaki fach da mu najwięcej wygód, zdradziła go odpowiedź na takie pytanie:

— Franku! czym chcesz być?

— Prewektem! (ks. prefektem), bo ma kluski i światły chleb! brzmiała pewna odpowiedź o sentencji ideowej (?)

— — — — —

Zupełnie inaczej przedstawiała się rzecz na punkcie przekonań religijnych. Wcale nie zdradzał Toli zalet praktykującego katolika, owszem, można go było wziąć za zdecydowanego 5-letniego liberała, być może, brakowało mu uświadomienia w tym kierunku.

Obowiązkowi zastrzeżonemu 2-gim przykazaniem kość., czynił zadość — chciał uchodzić za lojalnego — ale poza tym nic. Gdy nagle znalazłszy się po raz pierwszy w kaplicy zakładowej uderza go nowość. Chłopcy w pewnym momencie masowo udają się do balasek i tam coś otrzymują... (Komunia św.).

Toli nie był głupi. W mig pojmuje wszystko: „Coś dają za darmo!“ szarpie brata z chytrym szeptem“.

— Chodź Jasiek! bo nam wszystko zjedzą!!

Mijały dni i tygodnie, a mały Toli rósł w twardej szkole. Życie ciosało w nim hart granitowej skały... aż serce odezwało się dźwiękiem szlachetnych metali!

Bo niegdyś rozżarzone skry — gdy zbrakło ręki matczynej — przygasać zaczęły pod warstwą popiołu. Gdy nagle nie wiadomo kiedy i jak, rozbłysnął jasny płomień.

— — — —

Ojciec jadał na gospodarstwie z obsługą. Naszemu malcowi brakło nie raz chleba, więc: „a może i tacie czasem brak?“ I gdy nastało dlań 7 dni tłustych, spieszy na gospodar-



Pawlikowice. Piekarzyki nie mają czym piec.

stwo. Po drodze natknął się na ks. wychowawcę.

— Gdzież ty idziesz? zabrzmiało pytanie.

— Do taty.

— A cóż tam chowasz?

— ??? Chwila zakłopotania, myśli gonią jedna za drugą, a oczy jeszcze szybciej, szukając zbawczego otworu w płocie... jakoże za płotem stał gęsty mur szałwi, grochu i zielska różnego.

Ksiądz jednak zbliża się i rozpina mu kałatynkę — posypały się kromki, stare i świeże, ciemne i jaśniejsze...

— A to co? pyta zdziwiony ksiądz.

Delikwent rzucił nieufne spojrzenie na nieoczekiwanego wroga...

Ale wróg stał uśmiechnięty — i życzliwie spoglądał przez okulary na winowajcę. Te dobre oczy dodały mu animuszu.

— Ja dostawałem po 2 kromki, bom zamiatał kuchnię — odłożyłem tyle dla taty.

Ksiądz spoważniał, jakiś obłok jasny przemknął po jego twarzy i spojrzał tak dziwnie... w zapłakane jego oczy i rzekł:

— „Dobre masz serce dziecko, ale tatuś nie potrzebuje chleba od ciebie".

Toli zdziwiony korzystnym obrotem sprawy, ale urażony nieco taką czułością — raz dwa uwolnił się z bliskiej i niepewnej komitywy z wychowawcą, i co rychlej pobiegł z powrotem do zakładu.

Stanowczo mu się jednak nie wiodło!!!

Po kilku dniach niesie pod pachą jakieś zawiniątko, również na gospodarstwo. Ale on nie głupi — idzie już inną drogą...

Gdy wtem coś czarnego ruszyło się za węgłem...

— Wieję!!! przemknęło jak wicher przez odrętwiały ze strachu mózg Tollea.

I już powiewały strzępy podartej bluzy, a bose, czarne nogi migały złowrogo w powietrzu...

— Franku!!!

Toli zdębiał, serce gwałtownie bić poczęło... już zbliżał się doń ksiądz — ale mina nie taka jak kiedyś...

— Cóż tam niesiesz, Franku? Tak mię raz ucieszyłeś... a ty zdaje się coś wynosisz...

Pierwszy raz tak doń przemówiono! Wszystko się w nim zagotowało. Szybko rozerwał pakunek i oczom księdza ukazał się przechodzony kapelusz.

— Znalazłem na śmietnisku... odczyściłem i chcę zrobić prezent tacie, bo jutro ma imieniny.

Ksiądz stał chwilę i patrzał, po czym rzekł wzruszonym głosem: Dobrze, zanieś!!

H. Harańczyk.

P R Z Y P O W I E Ś C I

Kto daje ubogim, ubogiemu, nie zubożeje;
Kto gardzi proszącym, będzie niedostatek cierpiał.

A jednak było to piękne...

9. Czeladnicy ślusarscy, stolarscy, krawieccy i szewscy byli trochę szorstcy w obejściu z nami. Może i słusznie, bo harowało to wszystko po warsztatach od dzwonka do dzwonka, umorusane często, jak nieboskie stworzenia i jeszcze musiało do szkoły uczęszczać, a my? My po nauce i troszce zajęć innych (zamiatanie, czyszczenie lamp, skrobanie ziemniaków, itd.) zbijaliśmy bąki, wrzeszczeli, co gardła starczyło i pchali się nieproszeni wszędzie, gdzie się tylko dało co zobaczyć interesującego. Ale na ogół nie było to tak źle. Wynagradzali nam tę szorstkość sowicie wieczorem, w czasie rekreacji, albo w niedzielę, gdy wymyci i wystrojeni przewodniczyli nam w zabawach. Tam, tośmy ich prawie uwielbiali. Na skinienie przywódcy gotowiśmy byli na głowach chodzić i nosem się podpierać.

W zamierzchłych czasach była w parku karuzela. Wysoki słup zakończony u wierzchu osią, na której było kółko zaopatrzone w haczyki. Na haczykach były zadziergnięte liny, a do tych zaś przymocowane skórzane siedzenia w kształcie pierścieni. Takich siedzeń było coś dwanaście, czy więcej. Do pierścienia wsadzało się jedną nogę, usiadało wygodnie i jazda wokoło słupa. Bujało się tak w powietrzu wysoko nad ziemią, aż nam tamowało dech w piersiach. Chcąc skorzystać z tej przyjemności, walczyliśmy nierzadko o miejsca między sobą. Ale wiadomo, dobre rzeczy długo nie trwają. Tak było i z karuzelą. Słup spróchniał i karuzela znikła nagle. Podobno te nasze bójki o miejsca przyspieszyły próchnienie. Trudno nam się było z tą bolesną stratą pogodzić... Obiecywano nam jednak parę lat z rzędu, że gdy się tylko znajdzie odpowiednio mocny słup, to będziemy bujać dalej. Czekaliśmy cierpliwie i długo. Niejednemu w czasie tego czekania narosły wąsy... Nie bujaliśmy już więcej nigdy, bo jak czas pokazał, poprzestano tylko na „bujaniu" nas.

Ale szkoda gadać, graliśmy za to tym zawzięciej w pliszki, palanta, piłkę wgórę i w „rozdzielowanie narodów".

Ta ostatnia gra polegała na tym: na boisku robiło się w ziemi małą dziurę na piłkę; wokoło niej, w odległości 3—5 m. zakreślało się koło, na obwodzie którego stawały różne narody tyłem do piłki. Każdy z grających reprezentował jakiś naród. Gdy przewodniczący zawołał np. „Prusak", to Prusak robił obrót wstecz, skoczył po piłkę i walił nią w uciekające inne narody. Gdy trafił n. p. „Turka", to ten szedł do jednego z obozu jeńców. Po wytłuczeniu wszystkich i zapełnieniu obu obozów ostatni jeńcy stawali na czele tychże i zaczynała się wojna koalicyjna. Alianci stawali na przeciwległych końcach długiego powrozu, chwytali na komendę zań i ciągli. Silniejsi zostawali zwycięzcami.

Gier było dużo, ale trudno je tu wszystkie wyliczyć. Siatkówkę znaliśmy jeszcze przed jej wynalezieniem. Piłkę nożną przyjęliśmy nieco później od Anglików. (Wiele gier mieliśmy, których by się Anglicy mogli od nas nauczyć, ale nie potrafiliśmy ich tak cudacznie nazwać — jak to oni robią — i nie przyjęły się w świecie). Wszystkie gry były niezmiernie ruchliwe i wymagały wielkiej zręczności. Ludzie poważni i szanujący się nie brali przeważnie udziału w tych ruchliwych i krzykliwych zabawach. Dla nich został stworzony krokiet. Szczęście, że nas nic do krokietu nie ciągło. Szczęście dlatego, że z naszymi temperamentami bylibyśmy sobie w ciągu jednej gry młotkami łby porozbijali a może i widzom by się było coś dostało...

Ale o grach i zabawach na razie dosyć. (C. d. n.)

M. Cz.

Z samorządu szkolnego.

Klasa II.

Od pierwszej chwili pojawienia się „Naszego Życia" należałem do grona tych młodych uczniaków, którzy skrycie marzyli o napisaniu czegoś godnego, co zostałoby wydrukowane. Ze swymi pragnieniami nie zdradzaliśmy się przed nikim w obawie, by nie dostać się na cięte języki kolegów-dowcipnisiów. Obok tego w naszych młodych głowach — tak przynajmniej w mojej — panowało przekonanie, że do druku mogą pisać tylko starsi i to albo poeci, albo filozofowie, albo jeszcze więksi ludzie. To też nic dziwnego, że serce zabiło we mnie tak silnie, jak dzwon Zygmunta, a oczy śmiały się z radości, gdy w piękny słoneczny dzień zwrócił się do mnie gospodarz klasy z propozycją, bym napisał do „Naszego Życia" moje spostrzeżenia i zapatrywania na temat samorządu naszej klasy. Ucieszyłem się, że otrzymałem tak ważną misję, a zwłaszcza, że będę pisał do „Naszego Życia". I zaraz zdecydowałem się; nie święci garnki lepią, potrafię i kwita! Jakem uczeń drugiej klasy.

Samorząd obserwuję już drugi rok i sam doceniam niepospolitych wartości tej organizacji. Bym mógł jaśniej ten sąd uzasadnić, przedstawię organizację naszego samorządu. Samorząd nasz, to małe, takie sobie lilipucie państewko, w którym są tacy, co piastują urzędy i tacy, co należą do pospolitego ruszenia. Kardynalną zasadą u nas obowiązującą jest myśl: wszelka władza z naszej woli!

My więc wybieramy wójta, i jego zastępcę, gospodarza, skarbnika i sekretarza.

Do tego kolegium należy duży zakres władzy. Jest to bowiem organ wykonawczy, który ściąga przez nas uchwalone opłaty i podatki. Nakłada na nas kary, zwane u nas administracyjnymi i egzekwuje je,

tak jak egzekwuje kary z mocy wyroku sądu koleżeńskiego. Do tych dygnitarzy należy także ustawodawstwo, oni bowiem nietylko dbają o porządek w klasie, o jej przystrojenie, na co idzie część składek naszych ale i o nasz wygląd zewnętrzny, o to, byśmy wszyscy się uczyli, byśmy żyli w zgodzie i przyjaźni i byśmy nabrali ogłady towarzyskiej. Zadanie to spełniają różnymi sposobami. I tak, by dać pomoc kolegom słabszym w nauce, organizują samopomoc z pośród zdolniejszych kolegów, a tych którzy się uczyć nie chcą, zmuszają albo zachętą, albo udzielaniem nagany, albo nawet czasowym wykluczeniem z grona koleżeńskiego. Pamiętam, jak roku zeszłego jeden z kolegów przyrzekał wobec całej klasy, że odtąd zacznie się uczyć na prawdę. Na tych zaś kolegów, którzy nie grzeszą starannością około swego wyglądu, zarząd gminny obok upomnień ma i inne jeszcze środki. Poleca na przykład dyżurnym zaraz takiego „oporządzić" lub nakłada na niego tak zwany „raport karny", a więc obowiązek codziennego meldowania się przed rozpoczęciem lekcji przed gospodarzem.

O nasze wyrobienie towarzyskie zarząd gminy stara się na urządzanych, z wydatną pomocą naszego gospodarza klasy, zebraniach towarzyskich. Tu obok pogadanek o dobrym zachowaniu się uczymy się gier i zabaw towarzyskich, uczymy się zabawiać dowcipnymi monologami i żartami, lub pięknymi deklamacjami. Na tych zebraniach własnymi siłami urządzamy coś w rodzaju koncertów muzycznych, albo uczymy się śpiewać piosenek. Tu też dowiadujemy się, na czym polega postępowanie koleżeńskie. Z zarządem gminnym współpracuje pochodzący z wyboru sąd koleżeński, który składa się z trzech członków. Sąd koleżeński likwiduje wynikłe pomiędzy nami zatargi i chociaż nie kieruje się żadnym kodeksem, wyrokuje ku ogólnemu zadowoleniu nas wszystkich.

Sąd koleżeński załatwia nietylko sprawy te, które ze skargi pokrzywdzonego wypływają, ale załatwia również sprawy przekazane mu przez zarząd gminy.

W rezultacie samorząd dał i da duże wyniki swej pracy, przede wszystkim wpływa na nas moralnie, uczy nas — jak mamy żyć zbiorowo i słuchać naszej władzy. Przysposabia nas do pracy wspólnej dla dobra nas wszystkich, wdraża nas do nałogu niesienia pomocy drugim, uczy nas staranności około siebie i rzeczy naszej opiece powierzonej, uczy nas życia towarzyskiego i daje nam wiele innych wskazówek dla nas, jako przyszłych obywateli, bardzo potrzebnych.

Nic też dziwnego, że samorząd wszyscy szanujemy i na jego odezwy chętnie reagujemy. Urząd w samorządzie wszyscy cenią i każdy chciałby się dostać do zarządu. Te starania uwydatniły się podczas wyborów nowego zarządu. W czasie wyborów miałem wrażenie, że jestem w Warszawie na manifestacjach wyborczych, takie same były u nas krzyki, wiwa-

ty, a nawet obiecanki, czynione przez różnych kandydatów. Mnie na przykład sąsiad z prawej strony obiecywał dać 12 guzików, pióro z ogona koguta, a nawet bułkę z masłem, jeżeli dam mój głos na niego. Ja jednak wyniośle na niego spojrzałem i rzekłem: „czy wiesz jak sąd karze przekupstwo? więc uważaj! co do mnie, to postąpię, jak będzie najlepiej". Może moje powiedzenie nie wyglądało tak poważnie, ale jednak nie żartowałem. Jaki zaś był poważny wójt, a nawet gospodarz, to aż sam się zadziwiłem, skoro na pauzie krzyknął, jak sam Batory: „Chłopcy, nie krzyczeć mi! wybraliście mnie, to wiedzcie, że nie będę malowanym wójtem! — aż szmer podziwu przebiegł po klasie... szary plebs podziwiał ten majestat wójta. *Wajzer Zygmunt*
II. kl. gimn.

Klasa III.

Chociaż za oknami panuje jesienna szaruga, a deszcz gnany wichrem bębni monotonnie po szybach, to jednak w naszej „Trzeciej" gwarno i wesoło. Jest to bowiem właśnie lekcja języka polskiego, którą prowadzi opiekun naszej klasy. Poddał on nam właśnie myśl założenia samorządu klasowego, która została przyjęta przez nas z zainteresowaniem i sympatią, ponieważ samorząd zaprowadza w klasie ład i porządek w wykonywaniu różnych obowiązków, jak: dyżur, wypożyczanie książek i dbanie o wygląd estetyczny klasy. A własny sąd, który stanowi trzech ławników, też przecie coś znaczy, bo w koleżeńskich sporach nie będzie potrzeby udawać się ze skargą do profesorów, a przez to obniżać pogląd o swej klasie i zasługiwać na miano „skarżypyty".

Niezwłocznie też przystąpiliśmy do wyboru kandydatów i do głosowania, po którym zostały omówione obowiązki każdego z wybranych i cele gminy.

Na potrzeby gminy pieniądze postanowiliśmy zebrać. Każdy rozpoczął poszukiwanie po przepaścistych kieszeniach za mniemanym swoim majątkiem, a choć każdy wyciągał tylko guziki, sznurki i rozmaite drobiazgi niezbędne pawlikowickiemu gimnazjaście, to przecież kolega skarbnik jakimś cudem zebrał od dochodzących do Zakładu na naukę uczniów niezbędne fundusze na papier i inne potrzeby klasowe. Kolega gospodarz (chodzące ja) zaraz na pierwszej pauzie postanowił skorzystać ze swej wielkiej (według jego mniemania) władzy. Ujrzawszy więc gdzieś pod ławką mikroskopijny papierek, zabiera się do natarcia uszów młodszemu koledze, lecz zmitygowany przez jednego z ławników odpuszcza mu to przewinienie wspaniałomyślnie, jak zapewnia, po raz ostatni i na ten raz pan gospodarz musiał zabawić się w czyściciela klasy.

Cała „wyższa władza" gminy ulokowawszy się w ostatniej ławce spogląda górnie (oczywiście tylko wtenczas, gdy nie grozi wywołanie w czasie lekcji)

na swoje „pole działania", marząc o swych zasługach i marznąc tymczasem razem z całą klasą, bo nastaje zima, a węgiel nie myśli sam bez pomocy gminy wędrować do pieca, który zresztą jeszcze wywczasuje się na strychu budynku zakładowego.

Nawalny Józef
uczeń klasy III. gimn.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Batruch Roman. Serdecznie dziękujemy za pamięć i artykulik. Nauczycielowi najdroższą jest życzliwa pamięć ucznia. Z artykuliku skorzystamy w numerze styczniowym, który w całości będzie poświęcony ks. Bronisławowi Markiewiczowi.

Jan Chmielewski. Musimy cierpliwie czekać aż duch poezji na Twoją główkę spłynie. Trudno bowiem zadowolić się takimi rymami:

„Posłuchajcie wy cywile!
Jak w Zakładzie siedzieć mile,
Rano, gdy piąta nadchodzi,
Asystent po sali chodzi,
Strasznym głosem ryczy
Wstawaj, wstawaj, krzyczy itd.

A więc czekajmy!

Autorowi „Jesieni w Zakładzie" zwracamy uwagę, by używał słowniczka ortograficznego, zwłaszcza, że w tym czasie nikogo to nie kompromituje, bo każdy doń patrzy, a któż dostrzeże, czy się patrzy np. na Maria, czy też na: pónkt, aby się dowiedzieć, że się pisze punkt.

„Orzeł" Nie wysilił się na sprawozdanie harcerskie, a skądinąd Redakcja wie, że Orła stać, by wyżej latał.

Kądziołka. — Dwaj zakładowi komedianci Piw-Paw, rodzeni bracia, jak zapewnia aktor, są mili i weseli, dlatego przedstawią się w następnym numerze publiczności.

Uczeń I. kl. gimn. Zasmuciliśmy się, że piszesz: „an przedstawieniu chłopcu zranili nosa".

Redakcja dziękuje Krakowowi za miłą kronikę, a przy tej sposobności prosi anonimowo, by kroniki opracowywać należycie, gdyż bywają one czasami bardzo kulawe.

Redakcja.

OD WYDAWNICTWA

Zwracamy się do wszystkich P. T. Abonentów z gorącym wezwaniem, aby zechcieli uiścić prenumeratę, i w ten sposób poprzeć „Nasze Życie"

Kronika z Pawlikowic.

Słychać...

hic, haec, hoc.

Ten i ów sąsiada w bok... Słyszy się też i o... Aleksandrze Wielkim, który ponoć na Bucyfale jeździł, o Koperniku, który Amerykę „odkrył", o Kolumbie, sławnym „astronomie", co słońce zatrzymał na niebie, o Cezarze, który pod Wiedniem Turków rozgromił, o Cyceronie odkrywcy spisku, czy też rokoszu Zebrzydowskiego, za co nazwano go: „Ojcem Ojczyzny", o Mont-Ewerest, który leży w Kordylierach i t. d. — lecz to wszystko szept uczonej, niekiedy i „bardzo uczonej" rzeszy. Więc zastanawiać się nad tym lub owym, nie mamy prawa — bo od tego czas nauki i... konferencja. Chciałem tylko zaznaczyć, że szkoła trzęsie się w posadach, (naturalnie ławki też...) od pracy małych, średnich i dużych głów.

Dnia 13-go b. m. — imieniny naszego X. Prefekta — a zarazem i mojego „chlebodawcy" — czyli redaktora „Naszego życia", Przew. ks. Edw. Tomzy. Młodzież, z uczuciem głębokiej wdzięczności za opiekę, winszowała swemu przełożonemu, a na zakończenie uroczystości odegrano ku czci Drogiego Solenizanta sztuczkę teatralną p. t. „Komunista spadkobiercą".



Pawlikowice. Młyn już w ruchu.

Wszelkie światowe polityczno-gospodarcze zdarzenia i u nas w naszym codziennym życiu się odbijają. Mamy i podbój pod względem technicznym Abisynii, dewaluację, polityków, badających stan stopni ciepła, czy też zimna itd.

Podbój Abisynii? ...W Zakładzie??? — Tablica znajdująca się na drodze z „dużego" budynku do „małego" oznajmia, że „droga zamknięta". Otóż totumfacki zakładowy, nie [illegible] Michał, tylko zacny nasz Władzio, prze

kształcił się z bramkarza „Victorii" w inżyniera drogowego, i teraz na wzór marszałka Bono, „buduje „kulturalne" gościńce, drogi, ścieżki i...

Nawiasowo mówiąc, jest to bardzo pożyteczną rzeczą — gdyż po dewaluacji, nie złotego, który się dzięki Bogu jeszcze mocno na nogach trzyma, tylko pogody — tak, dosłownie p o g o d y, będzie można „prawie" suchą nogą przejść z „tego" domu do „tamtego"... Mówię, że po „dewaluacji pogody" dlatego, gdyż cały październik to czas osiemdziesięcioprocentowej dewaluacji pogody. Padał bowiem deszcz tak poważnie, że zaistniała obawa powodzi.

Nawet w naszej stolicy (należy czytać: Wieliczka) w dzień i w nocy był czynny telefonista, który kosztem swego snu miał ochraniać nasze cenne „życie".

Do powodzi, dołączyła się obawa przed katastrofą „ziemniaczaną", jednak Pan nad Pany wysłuchał naszych ataków do bram niebieskich i jako tako mogliśmy zebrać z pola ziemniaki.

Jak zwykle, na zakończenie, podam kilka ciepłych słówek o harcerzach. Ponieważ „Zaduszki" nadeszły, Drużyna Harcerzy postanowiła uporządkować cmentarz zakładowy oraz upiększyć groby. Rozmoknięta ziemia nie odstraszyła naszych dzielnych druhów, którzy, pod kierunkiem dha J. Cibury, szybko załatwili się z różnymi zielskami...

Jeszcze coś... nie wiem, czy panowie z „Victorii" mnie nie zbojkotują. Ale przecież u nas w Polsce istnieje wolność prasy i słowa — więc bez większej obawy zdradzę publiczną tajemnicę. Otóż „Victoria" przegrała... mecz, i to nawet nie z A-klasową drużyną, lecz z jakimś nowoutworzonym zespołem. Co? jak? gdzie??? ...Niech się już teraz sam reporter sportowy, czy też „sekretarz" odezwie i nas odpowiednio „fachowo" objaśni. Ze swej strony dodam, że jakoś napoleonada „Victorii" ciemnieje... nie dziwię się — zima nadchodzi...

Z wiadomości konkretnych nadmienić należy, że do urządzonego świeżo, młyna przybyła nowa maszyna „perlak" dzięki umiejętnej zapobiegliwości ks. Dyrektora Rymuzy, który w dzisiejszych ciężkich, kryzysowych czasach przy poparciu społeczeństwa, potrafił swoim zmysłem gospodarskim postawić budynek warsztatowy i urządzić kompletnie młyn.

Kronikarz.

Miejsce Piastowe.

Miejsce Piastowe dnia 29/IX 1936 r. w uroczystość św. Michała Archanioła przyżywało w Zakładach ks. Br. Markiewicza podniosłe chwile. Jako w 15-cą rocznicę zatwierdzenia przez władze duchowne zakonnego Towarzystwa zjechał do Zakładu na odpust Patrona Towarzystwa J. E. Ks. Biskup Franciszek Barda, Ordynariusz przemyski, w towarzystwie swego kapelana ks. Kocyłowskiego. U bramy przed kościołem Matki Boskiej Królowej Polski powitał dostojnego gościa generalny Przełożony Towarzystwa św. Michała Archanioła, ks. Antoni Sobczak, z ks. dziekanem Józefem Rafą, okolicznym duchowieństwem, z gronem członków Zgromadzenia, młodzieżą Zakładu i orkiestrą. Wśród śpiewu hymnu „Książę Niebieski" prowadzono ks. Biskupa do świątyni. Po czym przy śpiewie chóru chłopięcego „Ecce Sacerdos Magnus" asysta i duchowieństwo prowadzili ks. Biskupa do ołtarza M. B. K. P. Po adoracji Najśw. Sakramentu i odśpiewaniu modlitw przemawiał do Arcypasterza ks. Rektor Sobczak. W przemowie swej wspomniałł ks. Rektor na przepowiednie ks. Markiewicza — że na tym miejscu powstanie świątynia — i dziś mamy szczęście w przepowiedzianej świątyni przyjmować Ekscelencję w uroczystość piętnastolecia.

Po przemowie księdza Rektora rozpoczęła się Msza św. pontyfikalna ks. Biskupa B a r d y. Do Mszy św. asystowali: ks. dziekan J. Rafa, kapelan, ks. Bełch, ks. Mendyka oraz klerycy. Duchowieństwo zapełniło resztę miejsc w prezbiterium. Kościół, mimo niepogody, był napełniony ludem.

Po Ewangelii wyszedł na ambonę Pbny ks. Kanonik Winc. Grzyb, proboszcz z Jedlicza i w pięknych i wymownych słowach przedstawił postać ks. Bronisława Bonawentury Markiewicza jako założyciela ks. ks. Michalitów. Zapatrzony w swego poprzednika św. Jana Bosko dał ks.

Bronisław jego regulamin i regułę za podstawę do swego dzieła, które, „Bożym dziełem" nazywał, a siebie lichym narzędziem w ręku Boga.

Po skończeniu Mszy św. odbyła się procesja po kościele z błogosławieństwem Najśw. Sakramentu nabożeństwo zakończono. Należy dodać, że w czasie Mszy św. śpiewał chór chłopięcy „Missa de Angelis".

Po południu odbyła się w sali teatralnej uroczysta akademia ku czci św. Michała Archanioła, na której



Najprzewielebniejszy Ks. Biskup Barda wśród wychowanków zakładu w Miejscu Piastowym.

był obecny J. E. ks. Biskup Barda. Po zakończeniu Akademii przemówił do nas ks. Biskup podkreślając to, że Michaelici powołani są do pracy nad sierotami z Woli Bożej.

Wieczorem była odegrana tragedia p. t. „Młyn podziemny". Aktorzy, jakkolwiek znużeni, już w ciągu dnia nie zawiedli widzów, odgrywając swoje role.

Na tym zakończyły się uroczystości dnia. **Kronikarz.**

Kronika krakowska.

Czytelnik otrzymawszy „Nasze Życie", gorączkowo przerzuca kartki, — Uważa ten dział za główny nerw życia zakładowego, za samą prawdę.

Zadaniem bowiem kronikarza jest opisać wypadki zachodzące w Zakładzie tak jak one rzeczywiście wyglądaja. Lecz w tym cała trudność! Jak uzgodnić barwny opis z suchymi, mało znaczącymi wypadkami?

Spotyka się tu dwie skrajności: jedni, puszczając wodze fantazji, zatracają realność; cierpi na tym prawdziwość zdarzeń. Inni wpadają w suchość, ograniczając się tylko do prostego zanotowania wypadków.

I jedni i drudzy nie zadowolą czytelników. Trzeba wybrać złoty środek. Nie będzie to już w całym tego słowa znaczeniu kronika, ani czysta prawie fantazja, ale będzie prawdziwe nasze życie.

Życie to, w normalnych warunkach podobne jest do morza: oglądane tylko z zewnątrz, wydaje się jednostajne, spokojne, ciche...

Ale gdy wejdziemy do głębi, zobaczymy tam różne dziwy, niewidoczne dla tych, którzy są na brzegu. (Zdarzają się ludzie, którzy całe życie chodzą tylko po brzegu życia).

Ale prawda! Ja mam pisać kronikę, a piszę coś, jak by kronikę kroniki.

A więc rzućmy wszystkie troski, wszystkie smutki, niepokoje, a o-

piszmy życie swoje...

Od dłuższego już czasu tłumili amatorzy ping-ponga w swych piersiach wzdychanie: żebyśmy tak mogli skąd wytrzasnąć prawdziwy stół ping-pongowy.

I gdy piersi były przepełnione, przy lada sposobności wyrywały się westchnienia.

— Ale ty ścinasz — mówi Józek do Staszka — zawsze w siatkę.

— Jakby był prawdziwy stół, to bym ci dał na zero — tłumaczy się przegrywający Staszek.

— Nie taka straszna rzecz stół ping-pongowy — odezwał się któryś. — Poprośmy tylko ks. Prefekta, a zaraz będzie. — No to chodźmy! chodźmy! — wołają inni — i pobiegli...

— Proszę ks. Prefekta — rzekł odważniejszy, — jakby tak ks. Prefekt chciał, toby się postarał o stół do ping-ponga.

— No pewnie, pewnie, że to nic takiego, ja już dawno myślałem nad tym, ale to dosyć drogo kosztuje, a ks. Dyrektor nie ma pieniędzy, — odpowiedział zaskoczony ks. Prefekt.

Wszyscy zamyślili się chwilę... Wtem jeden z chłopców żywiej się poruszył, jakby mu dobra myśl zaświeciła i rzekł:

— W takim razie jabym radził, żeby wziąć stare deski z ogrodu i z nich zrobić stół. — Brawo! — krzyknęli inni i otrzymawszy zapewnienie, że w jak najkrótszym czasie stół będzie gotowy, wyszli. — Ks. Prefekt zaraz po odejściu chłopców wziął się do pracy. Wyciągnął przybory rysunkowe i zabrał się do rysowania.

— Trzeba się zabawić w inżyniera — pomyślał i zaczął kombinować, gdyż bądź co bądź nie miał o tym zielonego pojęcia. Napocił się nie mało — jak sam zeznawał — ale wkrótce plan był gotowy.

Uradowany, jakby odkrył Amerykę, poszedł do ogrodu. Po krótkiej konferencji z p. Jancarzem, majstrem od wszystkich nadzwyczajności, ustalono plan budowy.

Praca odbywała się w tajemnicy, by w razie niepowodzenia nie narazić się na niesławę.

Pewnego dnia gruchnęła wieść po Zakładzie, że stół już gotowy. Biegł kto żywy oglądać to dziwo, które tymczasowo ustawiono w infirmerii. Zebrana pod drzwiami gromada, gdyż do środka wypuszczano tylko po kilku, zaglądała to przez dziurkę od klucza, to przez szpary, aby naocznie stwierdzić fakt.

Naogół przyjęto dzieło z uznaniem, choć na prawdę stół wyglądał jak przedhistoryczny zabytek.

— Jabym radził oddać go do muzeum — rzekł z uśmiechem p. majster krawiecki, żywo od pewnego czasu interesujący się sportem.

Zaczęły się więc sypać żarty na temat stołu, bo choć niejeden był zadowolony, to chciał przy sposobności popisać się dowcipem.

Zirytowało to ks. Prefekta, gdyż on miał o swoim dziele zupełnie inne wyobrażenie, wypędził wszystkich i zamknął pokój.

— Trzeba poprawić — rzekł stanowczo. Kazał przynieść kitu z ogrodu, kupił czerwonego, błyszczącego lakieru i zaczęło się wyrównywanie dolin i wszystkich nierówności, bo deski były nieheblowane i mocno pogryzione zębem czasu.

Po ostatecznym wykończeniu wniesiono stół do studium i ustawiono go na krzyżakach odpowiednio zmontowanych.

Pierwszy inauguracyjny mecz rozegrał ks. Prefekt z p. majstrem krawieckim. Pociesznie to oczywiście wyglądało, gdyż zdaje się, że tak jeden jak drugi pierwszy raz miał rakietkę w garści.

Dla braku miejsca o jednym tylko piszę wypadku, który właściwie nie wypadł lecz wpadł do naszego Zakładu, ale jest on punktem zwrotnym w grze ping-pongowej, gdyż dotychczas grano na długich bardzo i niewygodnych stołach w jadalni

Kronikarz.

ZŁOTE MYŚLI.

Ubogi wyciąga do ciebie rękę, ale sam Bóg przyjmuje to, co ubogiemu dajesz.

Św. Jan Złotousty

HUMOR I DOWCIP.

Pewien mierny poeta rozmawiał raz ze swym znajomym o Goetem i tak między innymi powiedział: czy wiesz czem ja wyższy jestem od Goetego? — Ten patrzy zdumiony, a poeta rzekł: wyższy jestem — pokorą.

* * *

Gdy raz do kasy cisnęła się publiczność i każdy chciał być pierwszym, zawołał kasjer: — proszę państwa po jednym, bo wszyscy chcecie być pierwszymi, a według Pitagorasa pierwszym może być — tylko jeden.

* * *

Ojciec: — Czekaj, gałganie! ja cię nauczę palić papierosy.
Synek: — Ja już umiem, proszę taty.

* * *

Sędzia — Dlaczego kradł żelazo.
Złodziej — Bo mi doktór kazał — brać żelazo.



Gdzie koń?

Adres Redakcji i Administracji:
PAWLIKOWICE, P. WIELICZKA, ZAKŁAD WYCHOWAWCZY
Pod tym adresem należy przesyłać artykuły, sprawozdania, materiały do różnych działów, listy i t. p.
Rękopisów Redakcja nie zwraca, lecz ważniejsze przechowuje.

Prenumerata roczna w kraju zł. 2·20, kwartalnie 60 gr.
Cena pojedyńczego egzemplarza 25 gr. — zagranicą 4 zł. p.

Wszelkie wysyłki pieniężne należy przesyłać czekiem do P. K. O. w Krakowie na konto Nr. 404.854.

Wydawca: Zakład Wychowawczy w Pawlikowicach.
Redaktor odpowiedzialny: Ks. Stanisław Kot.